

# B E M

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

35

Gospodyni nawet całe do domu nie wróciła. „In-szych“ wzięni z „mieszkań“ a „jom“ na gorącym, bo rzęła zdrajców — a że zdrajce teraz górą, tedy, kto im tylko, tego obwieszą. A tak! I gospodynię najpierwszą, bo na Zamku jedną obywatelkę, jak chwyciła za włosy, tak się z nią skuliła po schodach i tak ją trzymała, że hułany musieli obie do więzienia! — Cóż, niema co, rzetelna była niewiasta, tyle że rękę miała skora do byle czego. Kaśka zła jej za to nie życzy — i tak przecież ją obwieszą — równość je pisana w konstytucji i ju. Najbarzej wedle testamentu. Woźny trebunalski powiada, że spadobierców niema, tedy pójdzie na maistrat. Ale nie wiadomo, bo gospodarzowi się należy i jej, Kaśce, się należy i za mąkę się należy. Najważniejsza, aby krótko, nie tak jak tego jednorąca, co kiedy mu kieszki ciągli, to jeszcze mówi... I mszę Kaśka zakupi — a juści, niech tam. Powiadali, że jutro, skoro skwit. Właśnie na woźnego czeka. Trza żeby ktoś ze swoich popatrzał... zawdy raźniej...

Kaśka miała jeszcze na parę godzin do mówienia, lecz profos nie słuchał więcej. I tych wiadomości miał zadość.

Odruchowo niemal zawrócił Dziurbacki do ratusza. Ale tu daremny był trud, daremna droga. Wojsko żywego ducha pod mury nawet ratuszowe nie dopuszczało. Karabinierzy rozpędzali gromadki krewniaków i znajomków, którzy o bliskich przepytwać się chcieli!

Dziurbacki juści wyobrażenia nie miał o tem, że energia generała Krukowieckiego nietylko z dygnitarzami rządu wczorajszego zdołała się rozprawić, ale bez mała własnych elektorów pod kluczem osadziła.

W szyneczku na Kozłej, do którego był profos wstąpił na ust zwilżenie — rozprowadano szeroko, że generał Krukowiecki nawet klubistom nie darował, że ksiądz Pułaski, Szynglarski, Czyński, Grodecki, Płużański, Dmochowski i chmara co najgłośniejszych patriotów czeka wyroku, że i Krainiński, co generałowi bakę świecił a zgola niby adiutant za nim się uwijał, także sądowi podan. Lecz Dziurbacki na tych wszystkich imionach się nie znał. Dowodzenie o tem, że nowy prezes nie pofolguje i samemu Lelewelowi, również niczego nie pouczyło wachmistrza. Natomiast oczywiście dlań było, iż tłum ludu pokutuje na ratuszu i że sprawiedliwość ryczałtem pójdzie. No a w tłoku i tu blisko i tam blisko. I potem kto babę dociecze? Nuże zamroczyło ją, nuże z rozbójnictwem poszła dalej, nuże się zażarła i ubabrała w krawie? — Gdzie taką nie poniesie! — Cóż! zasłużyła. Harmatami by nie dość trawować! Generał Hurtig!...

I profosa już tknęło, aby na Zapiecek wracać a Madejową pozostawić własnemu losowi — lecz wnet go skrupuły napadły.

Szczera była baba. Naprzykrzona i przymilna do zbytku, poszturchiwałaby cały dzień a ślepie raczyła. A przecież barzej mu było z nią. Kiedy go star-mosili wówczas pod Zamkiem, niczem rodzona! I czerwona na gębie a podbródków to ma dwa. Że to tyła ciała jej nie zawadza. Sapie a drepcze a miele ozorem! Już w Sandomierzu była niczego. Cie, żeby tak w artylerii ostał, na całe wojskoby takiej nie znalazł. Przygodziłaby się! Sługocki w ósmym roku miał, co za markietankę szła. Ale nie równać! Tylko, żeby nie poszturchiwała. Babie ślepie do przewracania a jemu do spania! Pojedynkiem snadniej. Namotała sobie, to sobie odmota. A zawsze godziwie się należy. Ostawić nie podobna, bo i szkoda i żal, juści żal...

Dziurbacki po tem zastanowieniu powędrował do baterii na Pragę, kalkulując słusznie, że mu kapitan Orlikowski może radę znaleźć albo gdzie przez sztabowczyka trafić do sedna.

Aliści na Pradze dowiedział się wachmistrz, że bateria stoi jak za dobrych czasów w koszarach w Warszawie.

Zaklął siarczyście profos, lecz co było robić, powłókił się z powrotem i o zmierzchu docłapał na ulicę Przejazd.

I tu jednak spotkał go zawód.

Orlikowski z ośmioma armatami wyciągnął do obozu, za Wolą. W koszarach rezydował podporucznik Iliński.

Dziurbacki raczej z potrzeby użalenia się i wspomnienia, jak to Iliński go salwował na Zamku, zameldował się do podporucznika.

Iliński wysłuchał uważnie wachmistrza, musnął z fantazją puszkę pod nosem i zawyrokował.

— Ciężko będzie, mości Dziurbacki! Kapitana niema. Pułkownik się nie mięsza! A potem sam widziałeś, co się działo! Nie ci winni, którzy czynili, lecz ci, którzy podzegli...

— Madejowa ani podzegała, ani czyniła...

— Hm-hm! Za kogo tu ręczyć! Opętanie istne. Strach wymówić, kto był! — Mam wezwanie na jutro do sądu. Generał Mycielski prezyduje z pułkownikiem Majewskim... Idzie o tych, których widziałem... Mogę się zapytać...

— A przecież, bez urazy podporucznika i Madejowa tam była! Ja się oganiałem Cydzikowi a ona z Kościółowską się wodziła, kiedy pan podporucznik salwował nas od zbójów.

— Czekaj, wachmistrzu, tęga, przysadzista, w niebieskiej katance płóciennej...

— Czerwonego oblicza, a podbródków to ma dwa...

— Aa! Toż ona właśnie dławila jakąś kościstą, małą...

— Kościółowską...

— Tak że trzech żołnierzy ledwie uwolniło...

— Największą morderczynię!

Tu Dziurbacki jął co tchu opowiadać Ilińskiemu o Kościółowskiej, o Cydziku, który za pułkownika się przebierał Sikorskiego a obwiesiem był najgorszym, o tem, że on właśnie pierwszy ze zgrają wpadł do Zamku, że Madejowa po sprawiedliwości z nim, wachmistrzem, była, bo ich oboje zagnała pasyja i strach o Antoszkę, dziecinę, co ją Cydzik wpłatał, że na zamku ją osadzono, niby pani Marchockiej kompanię...

Iliński, choć piąte przez dziesiąte zrozumiał, przyrzekł solennie rzecz na sądzie powtórzyć.

Wachmistrz chciał dziękować, lecz podporucznik przerwał mu uściśnieniem ręki.

— Mości wachmistrzu, rad wam będę wygodzić. Toć szkoły żołnierza mnie uczyłeś!... A jeżeli nie poradzę, to do pułkownika naszego się udam, z generałem Krukowieckim był w relacji! — A i pułkownik tem chętniej pośpieszy, gdy będzie wiedział, że o waszą idzie instancję...

— A nasz pułkownik niby teraz cóż?

— Niewiadomo. Kapitan mówił, że do komisji obrony Warszawy pójdzie.

— Cie mu tam, na pisanie zeszło! Takie i teraz rządy, mospanie! Szkoda porucznika i czasy, czasy...

— Oj, prawda. Ale, bo nic mi nie powiadacie o tem dziewczątku, coście je ratowali...

— A według tej...

— Właśnie — podjął żwawo Iliński, muskając jedwabistego puszkę — aby mi się mignęła w oczach, lecz nieszpety buziak, dalipan nieszpety...

Profosa tknęło. Nieprzystojność Antoszki skojarzyła mu się z zapytaniem młodzieniaszka podporucznika i dopiekła mu do żywego.

— Po nocy chyba — mruknął cierpko Dziurbacki.

— A nie, nie — jak żywą mam ją przed oczyma w świetle pochodni. Dziecko prawie a nie dziecko. Nad wiek urodziwe... I cóż ona, cóż?...

— Ona? — Skreśliło ją! — Niema jej... Wody się... — dobrze mówię, o... wody się napiła i ten...

— Cholera!? — wykrzyknął Iliński.

— No, cholera mospanie i już!

## XXI.

Pani Marchocka głowę swą ku ramieniu Bema skłoniła i wybuchnęła płaczem.

Pułkownik stracił rezon i jął sumitować się przed kapitanową.

— Pani Anno, proszę do serca... parol, nie chciałem... Jenó, jenó pragnąłem wystawić położenie... Pani nie winna! Los, los tak zrzucił... On jeden!... Trzeba zapomnieć. Przed panią świat jeszcze...

Główna pani Marchockiej bezwładniej zwisała, pierś zakała.

Bema i żalność zdjęła i złość na samego siebie.

Sumienia chyba nie miał, aby za tkliwą spowiedź, za rozwarcie mu księgi całego życia, odpowiedzieć żołdackimi moralami, prawieniem kazania! I jakiego jeszcze. Niczemby kto patykiem lilii imponował. Ona z całą wiarą, z zaufaniem całym do niego — a on z pazurami. Jeszcze w innym momencie, lecz gdy tu u niego tuli się, chroni, ledwie swobodniejszego nabiera tchnienia po strasznych przejściach, po tej nocy okropnej!...

I pułkownik już nie tłumaczył się, lecz błagał o przebaczenie, już nie usprawiedliwiał, ale oskarżał.

Aż wilgotna twarzyczka pani Anny podźwignęła się nieśmiało i ostatnie zakłęcie Bema — utonęło w całunku...

Oczy kapitanowej jaśniały poprzez zroszone rzęsy, jak uśmiech słońca na perlących się kroplami rosy habrach. Pułkownikowi grała w duszy pieśń szczęśna.

Siedzieli obok siebie. Dłonie ich splatały się, szukały wzajemnie.

Twarcz Bema gorzała. Blizny, prochem osmalone policzki pułkownika, jakby znikły, wyrównały się. Usta wąskie zazwyczaj a szerokie, napęczniały i kształtny przybrały wykrój.

A obocznie umysł pułkownika nabierał przejrzystości, mocy, zwartości rzutu. Siegał w dal, najrozleglejsze ogarniał widnokregi i wracał ku pięknej kapitanowej zadufany.

Czyżby Bema rozmarzenie wodziło, czyżby złudy pojmały go w swe sieci?

Przenigdy.

Pułkownik rozumiał, ogarniał samego siebie, na siebie samego poglądał.

Milował? Prawda, gorąco, głęboko milował, ale nie zaślepienie! Annę wskrósł przejrzał i widział w niej nie same lazury, nie same czary — ale i rzeczywistość i to wszystko, co w niej było ludzkim, złem nawet.

Niedola ją ściagała, prześladowała, powiodła do ołtarza z żołdakiem, prostakiem niewątpliwie, który niezdolen był delikatnych jej uczuć uszanować, który sam, sam pchnął ją na drogę buntu. Wówczas zjawił się Gendre i wycieńczoną, złamaną otumaniał, zagarnął. Czyż mogła się ostać?... Niecne kręactwo Gendrea czyniło wszystko, byle ugasić w niej porwy, byle mieć z niej powolne narzędzie dla swych szpiegowskich sprawek. Któż w jej położeniu by się ostał. Bez środków, bez rodziny, opieki... Nawykła do dostatniego życia, młoda, piękna, pochlebstwami karmiona! — Gendre ją trzymał w żelaznym uścisku intrygi! — Opór, bunt najmniejszy groził jej wyjawieniem tajemnicy jej życia, dyshonorem... A ostatnimi czasy nawet już i kaźnią! Wszak Anna miała chwile, w których rwała się do sentymentów zacnych, obywatelskich. Choćby tego dnia, gdy po raz pierwszy ją widział! Ileż godzin przegawędzili o miłości ojczyzny, o obowiązkach Polki, tego wieczoru pamiętnego, ileż zapachu mieściło się w jej głosie, kiedy snuła mu przy klawikordzie rzewną piosnkę rotmistrza. Bez wątpienia — z obcowania z takim Gendrem nie zdołała ująć bez skazy. Szczerby pozostały i w jej wyobrażeniach i w jej i w jej przekonaniach sercu. Lecz drzewko, które robak toczył, godzi się ratować i można uratować. Życie swe poświęci. I powoli, jak ogrodnik zabiegliwy, osmyczać będzie wilczki z pięknej roślinki — spędzać mszyce złośliwe a baczyć, by zbyła się przyziemnych skrętów, by ku niebu zwracała smukłe swe pędy.

Mijały godziny. Dzień odchodził. Słońce ostatkiem swych smug złościło rąbki obłoków. Izdebki pułkownika już szarobłękitna wypełniała poświata. A jemu precz grała jasność promienna i odsłaniała mu nowe widnokregi, nieznane krainy.

Harmonijny głosik pani Marchockiej kołysał go, czyste, świeże jej tchnienie poito rozkoszą.

Kapitanowa mówiła mu o swym dworku opuszczonym, o roślinkach, pozbawionych opieki, o tem, że radaby bodaj tymczasem, choć do garderoby swej dotrzeć, drobiażdżków nieco toaletowych wziąć, bo... inaczej, inaczej pułkownikowi zbrzydnie zupełnie w tem zaniedbaniu!

Bem juści przekonywał ją skwapliwie, że nigdy nie wydawała mu się piękniejszą.

Kapitanowa droczyła się, upierała. Rączki jej kumały się coraz częściej z ustami pułkownika. Promienie splotów pani Marchockiej za pan brat z mundurem Bema szły.

Pułkownik, niby to przy swoim obstawał, lecz jeno byle swarczenie się przedłużyć, byle pozór do przypięcia się mocniejszego do rączki znaleźć.

Niekiedy, na żwawe słówko kapitanowej, Bem wybuchał śmiechem serdecznym, takim śmiechem, że dźwięk jego pełny, czysty jemu samemu osobliwość się zdawał. Ani przypuszczał, że tak przyjemne posiada brzmienie.

I jakże mogło być inaczej, gdy oto pani Anna, utyskując ze swym prześlicznym uśmiechem na brak grzebiuszczków, wypominała mu, że ma jeden i to napół bezzębny! Nigdy tego nie postrzegł i nawet dziwował się, że mu nadto dokuczliwie tyśnie porze. Ucieszna historia.

Juści trzeba, trzeba jej i tego i tamtego i dworkiem się zająć i ogródkiem, pomyśleć o konsystorzku, o znalezieniu kanonicznych racy i o służebnej, bo trudno te pieściwe rączyny na zniszczenie wydawać. Uczyni wszystko, wszystko, każde jej spełni życzenie, bo nie miałby sił, nie mógłby go nie spełnić! Wszak dla niej, dla niej tylko żyć będzie, dla niej będzie pracował, zabiegał. Jej pragnieniami żył. Było inaczej, samotnikiem się błakał po świecie. Od śmierci rodziców szukał, latami szukał odzewu, na